

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

**ROK 1846.**

**Poznań, dnia 2. Listopada.**

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryżkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Zachodzi pytanie, jakim sposobem można się uskarżać, że nędza dzisiaj jest tak wielką, kiedy wyrobnik pracowity może sobie tyle w ciągu roku zarobić, ile przed dwustu laty właściciel dobrej wsi nie miał rocznego dochodu. Choć wartość pieniędzy spadła, ale też zniżyły się ceny tych wszystkich potrzeb, co nie należą do żywności i pomieszkania, azatém różnica nie wielka. Wszakże dawniej pełno było ludzi prawie za nic pełniących służbę w naszych obowiązkach; mocniejszy zmuszał słabszego do pracy, przywłaszczał sobie jego zarobek, i skądże można przypuszczać, że wtenczas ludzkość była lepiej zabezpieczoną przeciw nędzy jak teraz? W obecnych czasach moralność daleko większa i powszechniejsza: nie masz tortur: ustają zabójstwa, bicia słabszego przez mocniejszego, zabierania gwałtowne własności, rzadsza sprzedajność. To wszystko prawda. Świat niewątpliwie ma więcej moralności, więcej uczuć, więcej oświaty, ale przecież wątpieniu nie podpada, że więcej w nim panuje nędza.

Przy rozwiązywaniu tych pytań wszystkie odpowiedzi dadzą się podobno zebrać w jedną, a mianowicie w tę: dawniej więcej było egoizmu, lecz przez nadużycie; dzisiaj jest go mniej, ale stał się zasada społeczności; dawniej starano się egoizm wytepić, dzisiaj chodzi ciągle o to, żeby go rozkrzewić. Weźmy wszystkie państwa, stany, stowarzyszenia, bractwa średniowieczne, na czele tych instytucji stała rada lub jaka władza, choć tylko w jednej osobie, która urządziła tak stosunek osób, aby każdy mógł żyć. Wszystkie stowarzyszenia tworzone zawsze jako wspólne dla bogatych i ubogich. Mistrzowi tego lub owego

rzemiosła, nie było wolno chować więcej jak trzech czeladzi i dwóch uczniów; tym sposobem mogło się wielu utrzymać mistrzów, miał czeladnik zapewnione zatrudnienie, urządzano ilość roboty stosownie do potrzeby. Prawda, że to ścieśniało doskonalenie rzemiosła, zawężowało ręce zdatności, powstały więc krzyki przeciw cechom i bractwom, rozwiązano je, zniesiono.

Dopokąd atoli były cechy, tak długo między rzemieślnikami uczciwymi, pracowitymi nie było nędzy. Ponieważ zaś cechy wstrzymują rozwój, przeto były szkodliwe przemysłowi. Cechy więc oczywiście pod jednym względem pożyteczne, a pod drugim szkodliwe. Trzeba je zatem i zatrzymać i znieść: a że wpół zatrzymać i wpół znieść jest to samo co zmienić, więc powinny być być utrzymane, ale w innej postaci. Szkodliwością było to, że cechy nie szanowały należycie zdatności i wyższości jednego człowieka, że jej nie używały na korzyść ogółu, całej ludzkości. Trzeba im zatem tę szkodliwość odebrać. To co się tu rozumie o jednym cechu, trzeba powiedzieć o wszystkich. Zorganizowane wszystkie rzemiosła w cechy, nie powinny znowu zostawiać walki pomiędzy niemi, ale utworzyć szersze towarzystwo, któreby było rękodzielniem. Równie jak wydział rękodzielny potrzebowałby organizacyi rozumowej wydział rolniczy, za tym możeby szedł handlowy, oświaty i t. d.

Dzisiaj bez zorganizowania towarzystw zarobkowych, ścigają się wszyscy ludzie pojedynczo do zarobku; kto odbiera najwięcej zarobku drugim, ten jest najlepszym, najteższym w swoim zawodzie. Występuje jeden z nowym pomysłem, i szczyci się, że nikt



już z nim spółubiegać się nie potrafi; właściwie może o tém nie wie, ale przechwala się z tego, że swoich kolegów potrafi chleba pozbawić, o głód przyprowadzić. Pomimo to wszystko: osobiście ten człowiek może być moralny, zacny, szlachetny, najlepszego serca. Mamyż tu więc wyraźnie, że dziś nawet u człowieka nieegoisty; dążenia nawet dobre biorą kierunek egoistyczny. Otóż jest to choroba wieku naszego.

Nie wszyscy ludzie mają zdolność z urodzenia, nie wszyscy sposób do ukształcenia zdolności, bo nauka jest dziś jeszcze kupna, jest towarem. Bogatemu tylko a nie ubogiemu stoja do niej drzwi otworem. Ludzie więc zdolniejsi, ludzie, których rodzice mogli kupować naukę dla dzieci, w tém całym ściganiu się egoizmu prześcigują ludzi małych zdolności, ludzi zaniedbanego wychowania. Gdyby niewykształceni stali tylko nieco gorzej, mniejszaby było o to, ale oni wpadają w nędzę, w głód, ich dzieci zawczasie wymierać muszą, sami się w chorobach poratować nie mogą, i schodzą z ziemi o wiele lat za rychło. Oczywiście, jest masa ludzi tak nieusposobionych, iż choć pracują, nie umieją prowadzić pracy i z niej zarobku, aby o swoich potrzebach i o sobie radzić należycie mogli. Masa zatem ludzi potrzebuje opieki. Jednego poddać drugiemu pod opiekę, byłoby bez celu. W towarzystwie atoli może być każdy prowadzony podług jego zdolności. Towarzystwo bardzo wielkie z wielu tysięcy i kroci składające się, może mieć przepisy obchodzenia się z pijakami, próżniakami, marnotrawcami, iżby nie potrzebowali łachmanami i brudami speścić ziemi, szaleństwami wzniecać kłótni i zwad, marnotrawstwem przywoływać do siebie nędzy; życiem w rozmaity sposób zabijać się zbyt wcześnie. Zgoła zdaje się, że cały ratunek dzisiejszy jest tylko w stowarzyszeniach, które muszą każdego pojedynczego w kluby ująć. Nie masz wątpliwości, że przy tém ucierpi swoboda. Mnóstwo dziś jest ludzi na świecie, którzy będąc moralnymi, rzetelnymi, a żyjąc w krajach, gdzie rządy wysoko cenią wolność, spędzają dni prawdziwie rokoszne, w swobodzie i szczęściu, jakie tylko na ziemi osiągnąć może. Atoli ludzkości, narodom, stowarzyszeniom nie o to ma chodzić, aby pewna mała liczba miała wielką swobodę, lecz aby wielka liczba nie gnuśniała w nędzy, nie była igrzyskiem nieszczęścia. Zgoła ludzkość nie może się pytać o żadną drobną uprzywilejowaną klasę, ale o tłumy. Wybornie jest dzisiaj być budowniczym, który na swój rachunek tysiąc ludzi zatrudnia, lecz jeżeli jeden budowniczy dla tego we wszystko obfituje, że tysiąc jego wyrobników w nędzy, natenczas lepiej — by było budowniczego wprawić w nędzę, a podnieść

był tych tysiąc, bo wtedy nędza byłaby tysiąc razy mniejsza. Zdaje się atoli, że są drogi, na których i budowniczy może pozostać w stosunku jakim jest i drugich podnieść można. Mamy my dzisiaj i stowarzyszenia, ale nie są to takie, do których ludzkość wzdychać musi; dziś stowarzyszenia są tylko małej liczby mocnych, przeciw wielkiej liczbie słabych; zgoła są same stowarzyszenia kapitału, naprzeciw stowarzyszeniom pracy. Ile to jest stowarzyszeń żelaznych kolei, ale w nich sami bankierowie, kupcy, posiadacze dóbr, domów po wielkich miastach. Stowarzyszenia żelaznych kolei teby były dobre, coby miały w swém gronie tych, co dają pieniądze, co robią maszyny, co piłują drzewa, co tłuką kamienie, bogatych i biednych, a z których dobry był każdego; byłby w interesie całego stowarzyszenia. Nie o stowarzyszenia zarobku, ale o stowarzyszenia moralne chodzić powinno.

## Krzyż nadwiślański.

Powieść **Leona K.**....

(Dokończenie.)

P. Grzegórz powiódł okiem po komnacie, a gdy wzrok jego zatrzymał się na łożu, to zadrzał jakby mimowolnie — lecz wkrótce wychodząc z chwilowego pomieszczenia, postąpił parę kroków i odezwał się do Stanisława:

— Panie Linowski.... pan Kazimierz wysyła mnie do pana....

— Pan Kazimierz?.... dobrze.... pan zapewne jesteś uwiadomiony o tém, co zaszło między nami.... Mnie tylko idzie o pospiech, bobym nie chciał ani jednej chwili dłużej tu pozostać — wszak pojedynek może się odbyć zaraz?

— Panie Linowski.... czy pan rozważyłeś wszystko.... czy pomyślałeś jakie nieszczęście spowodować może?....

— Mój panie — przerwał Stanisław — czy Kazimierz Jastrzębski przysłał pana z takimi uwagami?

— O nie! ale do mnie należy jako do krewnego i przyjaciela domu Jastrzębskiego zwrócić uwagę twoją Panie Linowski, że nie powinienś się bić z człowiekiem, który cię był jak brata pokochał, — że to okropnie jest pogrzyźć całą rodzinę w żalobie.

— To wszystko nie zmieni mego postanowienia — całą noc dzisiejszą przepędziłem w tym pokoju —



przy tém łożu, na którym jeszcze ślady krwi mojego ojca — (p. Grzegórz się wzdrygnął) nie dziw się pan więc, że moje serce nie ze wszystkiém usposobione do przebaczenia, i że w mą duszę wstąpiła cała nienawiść przeciw zabójcy.

— Ale panie Linowski — zawołał starzec prawie błagalnym głosem — przysięgam ci, że się mylisz okropnie — Jestrzębski nie winien zbrodni, o którą go posądzasz.

— Masz pan na to dowody?

— Dowody — wyrzekł cichym głosem p. Grzegórz i wlepił oczy w podłogę; Stanisław tupnął nogą z niecierpliwością.

— Wszak pan tu przyszedłeś oznaczyć warunki pojedynku, nieprawda? ja gotów jestem natychmiast, o miejsce mniejsza, ale jeśli Kazimierzowi wszystko jedno, to pojedynek może się odbyć pod Czarnym krzyżem — przyniesicie panowie ze sobą pistolety — staniemy o pięć kroków — bo jeden z nas musi zostać koniecznie.

— Panie Linowski, to będzie morderstwo!....

— Morderstwo!.... czy pan Kazimierz oznaczył inne warunki?....

Linowski obrócił się ku oknu, dając poznać Grzegórzowi, że nie ma więcej nic do powiedzenia. — Starzec jednak nie odchodził.

— Panie Linowski, mam jeszcze coś do pana — wyrzekł po chwili.

— Co takiego?

— Parę słów.... od panny Maryi.

— Od Maryi.... więc ona wie także?

— Nie można było ukryć przed kobietami. — Biedna matka i panna Marya są w rozpacz — od wczoraj pilnują Kazimierza i nie pozwalają mu na krok opuścić pokoju. — Panna Marya ze łzami oddała mi tę kartkę.

Stanisław porwał ukochane pismo — wyraziy które skreśliła młoda dziewczica, musiały być bardzo wzruszające, bo w miarę, jak je przebiegał oczami, twarz jego przybierała wyraz tklivszy, łagodniejszy. — Łzy stanęły w jego oczach, a papier wypadł mu z ręki.

— Pan płaczysz — zawołał Grzegórz, korzystając z tego wzruszenia — a cóż dopiero, gdybyś widział rozpacz tej matki, łzy tej biednej panny Maryi — o! serce się rozdziera patrząc na to wszystko.

Stanisław już zdawał się wahać — postąpił parę kroków ku Grzegórzowi — w tém krok jego zatrzymał się na łożu — później utkwiał na portrecie kasztelana, i ten widok spędził wszelką łagodność, a uzbroił go nową mocą, gdyż po chwili wyrzekł stanowczym spokojnym głosem:

— Powiedz pan Kazimierzowi, że za godzinę czekam u Czarnego krzyża.

Pan Grzegórz w milezeniu, z głową spuszczoną, zabierał się do wyjścia, we drzwiach zatrzymał się jednak.

— A pannie Maryi co mam powiedzieć — zapytał, próg przestępując.

Stanisław załamał ręce:

— Pannie Maryi powiedz pan.... że ja chcę.... umrzeć!....

## V.

Przekłeta ognista broń, kto mieczem zabija  
Musi składać się natrzeć, odbija, wywija,  
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać,  
Ale ta broń ognista dosyć zamek inać.  
Chwila jedna iskierka....

*Pan Tadeusz.*

W pół godziny potém Stanisław był na drodze do Czarnego krzyża, który obrał na miejsce spotkania. Mgła ranna rzedniała nad rzeką i nad ciemnymi zarosłami, co wśród piasków żółtych, szeroko zaległy jej brzegi. Młodzieniec tą razą nie oglądał się koło siebie, lecz przyspieszonym krokiem dążył na miejsce mającego się odbyć pojedynku, na pół drogi kiedy właśnie miał się skręcać ku rzece, ujrzał tuż przed sobą starego Jastrzębskiego, który trzymając broń w ręku, z twarzą spokojną choć pobladłą, zdawał się oczekiwać na niego.

— Nie pana.... spodziewałem się zastać w tém miejscu — zawołał Linowski zdziwiony.

— Wiesz o tem — lecz syn mój nie przyjdzie — bo w tej chwili jest on zamknięty w swoim pokoju z mego polecenia — będzie daleko słuszniej, że ja go zastąpię, bo zresztą ta cała sprawa mnie samego tylko się dotyczy. — Nieprawdaż panie Linowski? — Wszak do mego syna nie masz osobistego powodu nienawiści — przyczyną wszystkiemu jest zabójstwo popełnione na twoim ojcu w tych miejscach, które mnie przypisujesz — ze mną więc będziesz miał do czynienia — tembardziej, że ja z mej strony mam także prawo żądać zadosyćuczynienia od ciebie — za potwarz okropną, którą rzucasz na mnie — syn mój jest jeszcze młody, ma być kiedyś podporą rodziny — nie może tak bez celu wystawiać swojego życia. — Jakże — przystajesz pan?

— Chodźmy — zawołał Stanisław, a twarz jego prawie obłąkana przybrała odcień chwilowej radości, na samą myśl tę, że bić się będzie z człowiekiem, którego uważał za zabójcę swego ojca. — Czarny krzyż obrałem na miejsce pojedynku? — rzekł po



chwili. Jastrzębski kiwnął głową na znak przyzwolenia i oba postępowali obok siebie w milczeniu, w twarzy młodzieńca malował się zamęt myśli i walka najsprzecznějších uczuć; u starca pokój był wryty na czole i postanowienie mocne, niezachwiane. Ta surowa spokojność starca dziwne na młodym Linowskim robiła wrażenie, po raz pierwszy powątpiewanie wkradło się do jego duszy, a z nim myśl ta, że go pozór i wieści fałszywe mylić mogą. Lecz właśnie kończyła się drożyna i krzyż już wyraźnie wyglądał śród brzoź płaczących. Kiedy wyszli z zarośli, Stanisław ujrzał pod krzyżem kobietę, co siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą, a przy niej młoda dziewczica klęczała z oczami w niebo wzniesionymi z wyrazem nadziei i wiary.

— Marya tutaj! — zawołał Stanisław poznając dziewczę — ach! to umyślnie przygotowane, aby przeszkodzić pojedynkowi — dodał, obracając się do Jastrzębskiego.

— Wszak pan sam obrałeś to miejsce — odpowiedział starzec. Stanisław załamał ręce i oparł się o brzozę.

Tymczasem Marya rzuciła się w objęcia ojca, spostrzegła broń w jego ręku i krzyknęła boleśnie:

— Panie Linowski — zawołała, zwracając się do młodzieńca — pamiętasz, co wyrzekłeś mi — obiecałeś wszystko puścić w niepamięć — gdzie są dziś twoje obietnice?

— Panie Linowski wyrzekła matka wzruszonym głosem — co panu zawinił syn mój? co panu zawiniłszy wszyscy — i wyciągała ku niemu ręce. Łza z oczu młodzieńca spadła na rękę staruszka.

— O płaczesz — twoje serce jest dobre, kiedy się wzruszyło na łzy biednej matki.

Stanisław patrzył tylko na Maryę. Z jej oczu łzawych, co się zwracały ku niemu, przebijało się najwyższe cierpienie, usta na w pół otwarte skłaniały się do prośby. Stanisław nie był w stanie oprzeć się tym łzom kobiecym.

— Chcę o wszystkim zapomnieć.... oddałam się.... przysięgam, nie wrócę nigdy w te strony, gdzie cierpiałam tyle — gdzie zranił serca osób, które kocham tyle — dodał cichszym głosem patrząc w twarz Maryi. Rzucił jej jakby ostatnie pożagalne spojrzenie i miał już się oddalić, lecz w tej chwili Kazimierz biegnąc w stronę Czarne go krzyża, wołał z daleka na niego:

— Zaczekaj.... zatrzymaj się cokolwiek — spożniłem się trochę, ale ci służę natychmiast.

— Kazimierzu! — zawołał stary Jastrzębski — zabroniłem ci wychodzić z pokoju.

— Mój ojeze — sprawa ta jest tego rodzaju, że pierwszy raz musiałem zapomnieć o posłuszeństwie synowskiem, drzwi były zamknięte, wyskoczyłem oknem, aby przybieść tutaj. — Lecz co tu robi matka i Marynia — zawołał, postrzegając kobiety — kto miał serce powiedzieć im....

— Dowiedziałyśmy się od pana Grzegorza — wyrzekła Marynia.

— Nierozumiem jakie powody mógł mieć Grzegorz, powiadając wam o tém — z jego przyczyny — mówił Kazimierz, zbliżając się do Linowskiego — pojedynkę zaraz odbyć się nie może, lecz....

— Pojedynku między nami — przerwał Stanisław — wcale nie będzie — przyrzekłem zapomnieć o wszystkiem.... przebaczyć.

— Nie przyjmujemy przebaczenia — wkrótce, dodał cichym głosem — odprowadzę kobiety — spodziewam się, że cię tu zastanę.

Stanisław jakby złamany boleścią, stał nieruchomy pod drzewem. W tej chwili nowa osoba zjawiła się niespodzianie. Był to pan Grzegorz z włosami w nieładzie, bez czapki, tak blady, zmieniony, że wszyscy zatrzymali się z podziwieniem na jego widok.

— Na miłość Boską wstrzymajcie się, słuchajcie.... wołał starzec, załamując ręce. Wstrzymał się. Znać z trudnością przychodziło mu mówić.... — Panie Linowski — rzekł po chwili, stojąc przed młodzieńcem — najniesłuszniej obwiniasz tego człowieka o zbrodnię, której nie popełnił — na Boga ci przysięgam, on jej nie winien. — Zabójcą jestem ja — i jakby do wyznania tego wyczerpał wszystkie siły, spuścił głowę na piersi i przestał mówić na chwilę, wkrótce zdobył się znów na słowa, urywając często opowiadanie swoje.

— Ciężko mi zrobić to wyznanie, lecz potrzebne ono dla spokojności dwóch rodzin. — Bóg mnie już i tak srogo karał za to nieumyślne zabójstwo, bo niebo mi świadkiem, nie chciałem go popełnić.... Ośmnaście lat temu mieszkalem obok Wierzbnej z Jastrzębskim — pan kasztelan traktował z góry nas obu, ale nigdy przecież myśl zemsty nie powstała w mém sercu, choć cierpiałem na tém, ile razy Linowski nie szanował praw i własności. — Nadszedł wreszcie ów nieszczęśliwy dzień polowania.... widziałem kasztelana wychodzącego z pałacu.... bom sam był niedaleko ze strzelbą, widziałem jak szedł na tę tu łąkę, którą niedawno właśnie przysądzono Jastrzębskiemu.... chciałem się przekonać, czy kasztelan ze zwyczajną sobie zuchwałością, ośmieli się polować na gruncie, który do niego nie należał, i postępowalem za nim zdaleka.... w tém zając zerwał mu się prawie pod nogami.... kasztelan wziął na strzał, mnie przysłała do głowy myśl



nieszczęśliwa, żeby mu zwierzyne ubić pod strzałem, strzelba była nabita loftkami.... zmierzylem.... piekło kierowało moim strzałem.... usłyszałem krzyk — kasztelan leżał już zabity — pobiegłem do niego.... nie żył — com wtedy robił, nie wiem — pamiętam tylko, że się w nocy dostałem do domu, rzuciłem na łóżko i parę dni leżałem w gorączce. — Jastrzębski przyszedł do mnie, opowiadał jak będąc nad rzeką usłyszał strzał i zastał kasztelana zabitego. — Ja nie miałem mocy wyznać mu prawdy — w okolicy wiadano, że miałem trochę żalu do kasztelana, możeby nikt nie był uwierzył, że zabójstwo było mimowolne. — Lecz i tak ciężko ukarany byłem, pokój duszy i myśl spokojna zniknęły dla mnie, później cierpiałem tym bardziej, gdy z mojej przyczyny człowiek godny, ojciec rodziny potwarzą ob-  
rzucony został.

Starzec kończył ze łzami w oczach — po chwili kląkł i głowę zniżył do kamienia grobowego, jakby chciał błagać o przebaczenie tego, który tu zginął.

Stanisław Linowski z najrozmaitszym wzruszeniem słuchał tego opowiadania, a gdy starzec już skończył, i wszyscy pograżyli się w dumaniu, on ukląkł przed starym Jastrzębskim.

— Teraz ja — zawołał — przebaczenia błagam.

— Biedny Stanisławie, z serca ci przebaczam — tyś cierpiał tyle — miałem boleść nad tobą wtedy nawet, kiedyś nastawał na moje życie.

Kazimierz rzucił mu się przyjacielsko w objęcia — a Marya podawała mu rękę, którą on pochwycił z niebiańską radością. — I na twarzach wszystkich, cierpieniem niedawno okrytych, zabłysło szczęście i zapomnienie wszystkiego — tylko Grzegorz został sam przy krzyżu smutny i ponury.

W miesiąc po tym nadszedł dzień 29. Listopada. — Stanisław Linowski od Maryi, którą nazywał już narzeczoną, Kazimierz od rodziców, którym był podporą, pobiegli w szeregi narodowe; oba walczyli razem, dzieląc trudy wspólne.

W walce pod Ostrołęką, co była najkrwawszą sceną bolesnego dramatu, obaj młodzieńcy walczyli z rozpaczą na czele małego oddziału. — piechota moskiewska parła ze wszystkich stron. — Stanisław, który już ranę w tym dniu odebrał, rzucił się naprzód, chcąc podnieść zwątpiałą odwagę, i piersi jego napotkały bagnety nieprzyjacielskie, w tym stary jakiś wiarus porwał jego konia i w bok odciągnął, własnych piersi nadstawiając. Kiedy oddział polski przyszedł na odsiecz, wiarus upadł przeszyty kilku pchnięciami. Stanisław rzucił się ratować swego wybawcę, i schyliwszy się ku jego twarzy, poznał w umierającym Grzegorza.

\* \* \*

W pięknym wiosennym poranku zieleniły się powiślańskie brzegi — i szumiały topole jak dawniej nowem pokryte liściem, i Wisła płynęła cicha, spokojna, a nie znać na nią było krwi, co niedawno zcerwie-niła jej wody, i nie widać było trupów, które niedawno przyjęła w swoje łono — wszystko było jak przed tem — a jednak czegoś smutniej, rzewniej, jakby powietrze było cięższe.... nie swoje.

Przed domem w Wierzbnie siedział Stanisław blady zmieniony, od ran które poniósł — do niego się tuli Marya, pieści i szczebioce.

— Moj Stasiu, mój drogi — wszak ci lepiej? — wyzdrowiejesz i będziemy szczęśliwi — nieprawda?

— O! życie z tobą byłoby mi rajem — mówił Stanisław — gdyby mogło być zupełne szczęście w domu, kiedy go nie ma w Ojczyźnie.

## Jana Chrzyciela Seja

*niektóre spostrzeżenia nad ludźmi  
i społeczeństwem.*

(Ciąg dalszy.)

Kiedy moralisci badając serce ludzkie, robią smutne odkrycia, nie jeden gniewa się za to na nich, jak gdyby w tem była jaka ich wina. Gdyby fizyolodzy, opisując skład ciała, zakrywali nam słabości rozmaitych jego części, cóżbyśmy na tem zyskali? Potrafilibyśmy unikać chorób, albo je leczyć?

Nie lubię już teraz jak dawniej opisów dalekich podróży. Są to archiwa nieszczęsnych przygód, zaświadcza-  
jące jak najwyraźniej, że człowiek z przyrodzenia jest nieszczerzy. Zawsze z nieufnością przybywa po-  
dróżnik pomiędzy nieznanym sobie ludzi, i prawie za-  
wsze z nieufnością bywa przez nich przyjmowany. Wielkie to już szczęście, jeżeli zaraz na wstępie obej-  
dzie się bez bójki. Nastąpi-li między nimi przyjaźń, aliżci pod pozorem téj przyjaźni trzeba się zaraz na-  
wzajem oszukiwać; a tak następują kłótnie, bitwy i rozlew krwi. Na wielką pochwałę cywilizacji mo-  
żna z pewnością wyrzec, że im lud w jakim kraju jest mniej gruby i nieokrzesany, tém podróże są tam mniej niebezpieczne; a nigdzie nie ma podróży wię-  
kszego bezpieczeństwa, jak wśród narodów już ucy-



wilizowanych do pewnego stopnia, t. j. tych, u których obok wolności kwitnie przemysł i pokój; ale ileż to jest takich narodów?....

Wielu moralistów prawi nam: „Tłumcie wasze namiętności.“ Ależ namiętności stłumić nie można. Na cóż się więc zdadzą te próżne morały? Zamiast chcieć ludzi całkiem przekształcić, weźcie ich raczej jak ich natura stworzyła, i z takich utworzcie lepsze społeczeństwo. „To nie podobna“ odpowiecie mi. — Nim wynaleziono balony, mówiono także: niepodobieństwem jest, aby człowiek mógł się unosić w powietrzu.

Głupia to moralność, co się chce sprzeciwiać naturze człowieka. Prawdziwy też mędrzec podług niej nie postępuje. Bóg dał człowiekowi niczem niepokonaną próżność; jest to prawda moralna, jak potrzeba oddychania powietrzem jest prawdą fizyczną; wygładzić jej z serca ludzkiego nikt nie potrafi. Jeżeli moralisci pokuszają się ją uskramiać i niszczyć, objawi się ona nawet w surowym życiu mnicha. Jeżeli zaś tak ją skierują, że człowiek dopełni łańcuch ciężących na sobie obowiązków względem swjej rodziny i społeczeństwa, że nie podejmie żadnej czynności nieużytecznej, że będzie ściśle dotrzymywał swoich zobowiązań, że swój wydatek będzie miarkował dochodem, że polubi ochędostwo i mieszkaniu swojemu nada miły dla oka widok, jakże wielką usługę wyświadcą krajowi. Otóż to taka prawdziwa umiejętność moralna. Proszę mi teraz powiedzieć: jak daleko już w niej postąpiliśmy?

Możnaby powiedzieć, że mała stworzona jest na poniżenie człowieka i na ostrzeganie go ciągle, że pomiędzy nim a zwierzętami są tylko pewne odcienia.

Nic bardziej nie obraża ludzi pospolitych, jak nie-szanowanie jakiego zwyczaju. Co za zbrodnia, w samej rzeczy, nie szanować tego, co oni szanują! To im zbyt mocno czuć daje, albo że sami przez się myśleć nie umieją, albo, jeżeli umieją, że nie mają dosyć odwagi tak działać jak myślą. Jest to wyrzucać im w oczy ich niedołęztwo, a to rzecz nie do darowania.

Usiłowano niedawno we Francji założyć nową religią. Tego rodzaju przedsięwzięciom klimat nasz nie sprzyja; one się najlepiej udają w okolicach miedzymorza Suez: politeizm wziął początek nad brzegami Nilu, a islamizm w Mekce.

Łudzić się, jest to tak sobie wystawiać rzeczy, jak je widzieć chcemy. Długo mniemałem, że wielki ta-

lent jest zawsze połączony z wielkim charakterem; ży-  
czyłem sobie, aby to tak było, i to mi się tak zdawało. Jednak widziałem pierwszego rzędu uczonych we wszystkich gałęziach umiejętności, wielkich mistrzów w sztukach, wielkich znawców w przedmiotach pięknych nauk, nie mających dosć siły stawiać oporu złemu; co mówię? owszem, widziałem w nich najgorliwszych popieraczy złego, chciwców nieczułych a nawet okrutnych, i pomału zaczęły mnie złudzenia opuszczać. Mimo to, ludzkość ma swoją dobrą stronę.

Artysta malarz, artysta chemik, artysta snycerz, i wszelki inny artysta pod pewnym względem, to wszystko jedno; wszyscy mogą się mieć za pocziwych ludzi, i każdy w swoim zawodzie może pracować dla tego, kto mu zapłaci. Alboż to może być ich winą, iż szczęśliwie prac ich utwory, w najlepszej dokonane myśli, na zły cel użyte zostaną? Sposób robienia saletry jest ważnym, i będzie na wieki użytecznym odkryciem. Ten, co go wynalazł, mógłby przeszkodzić, aby nie posłużył do zabijania biednego ludu, umierającego z głodu? Kto inny zrobił za pieniądze posąg tyrana; to przykro i pomyśleć; ależ dla niego główną rzeczą było wykonać dzieło sztuki, i wykonał je wytwornie. Nie tak się rzecz ma co do pisarzy; ci, bez zaprzędania swego sumienia, nie mogą służyć tyranii. Jeżeli jej służą, muszą przeciw własnemu przekonaniu wystawiać fałsz za prawdę, chwalić co mają w obrzydzeniu, a zniesławiać talenta i czyny, dla których im rozum nakazuje mieć szacunek.

Mierność ma to do siebie — i to podobno najwydatniejsze jej znamie — że nie chce widzieć i uznać wyższości wszędzie, gdzie ona jest widoczną.

Jest pewien związek pomiędzy ludźmi wyższych zdolności i usposobień. Nic łatwiejszego dla nich, jak zrozumieć się od razu. Te same przedmioty, chociaż o nich z sobą nie rozmawiali, nasuwają im te same myśli i uwagi; widzimy to w wielu dziełach i pamiątkach. Czasem nawet i wprzód nim się poznali, niektóre okoliczności ich życia mają z sobą coś stycz-  
nego. Ludzie mierni nie wnikną nigdy do tego związku, chociażby ich kto niewiem jak chciał nakłaniać. Oni tego nie pojmują, i uważają to za marzenia, za nic.

Bardzo mało ludzi jest zdolnych dać dobrą radę, a jeszcze mniej zdolnych ją przyjąć.



Obluda stanowi wyjątek od innych przywar ludzkich, które się zwykle dają zmieknąć żalowi i odsłaniają z prawdziwą skruchą. Obludnik żałuje tylko chyba tego, że nie dosyć dobrze odegrał swą rolę, że nie był doskonałym obludnikiem.

Można się zahartować przeciw niesprawiedliwości ludzkiej, zupełnie tak jak przeciw zimnu. Ale zimno zbyt wielkie przyprawia o śmierć.

Nie należy pogardzać najpospolitszymi prawdami. Znałem człowieka, który miał odwagę powtórzyć wobec władcy wielu królów, te dwa wiersze pocziwego Lafontena:

Notre ennemi c'est notre maitre;  
Je vous le dis en bon français.

Napoleon przyjął je z pogardą i rzekł: „Już więcej jak tysiąc razy powiedziano to samo od początku świata.“ Czemuż to jednak przypisać należy, jeżeli nie zbyt wielkiemu lekceważeniu jego, téj oklepanej jak ją nazwał prawdy, iż musiał ze smutku umierać na kończynach świata? Nie pojmował on tego, że powiększając liczbę swych poddanych — nawet i wówczas, kiedy ich skronie uwieńczał koroną — powiększał tylko liczbę swych nieprzyjaciół. Jakże odmiennie postępował Washington, który poświęcając się sprawie wolności swoich współziomków, powiększał tém samém liczbę swoich przyjaciół!....

Ludzie zwykli mieć upodobanie w tém lub owém zwierzęciu. Jedni lubią konie, drudzy psy, inni ptaki, i tym podobnie. Nie pomnę kto zauważył, że lubiący ptaki, tehną czystą filantropią. To spostrzeżenie może się wydawać żartem na pierwszy rzut myśli; ale kiedy je wiele przykładów z doświadczenia stwierdza, musi ono mieć pewną podstawę.

Obserwując ludzi i ich różne charaktery, widzimy takich, co mają jedyne upodobanie w przewodzeniu i panowaniu nad innymi. Chcą oni, aby inni stósowali się we wszystkiém do ich widzimisie, a nienawidzą stawiających im opór i pragnących tylko zachować swoją niepodległość. Tym sposobem zostają w wojnie prawie z całą ludzkością, bo mało kto chce się wyrzec praw swoich.

Tacy ludzie są to podług mnie prawdziwi mizantropi, nieprzyjaciele rodu ludzkiego; bo nadawać nazwisko mizantropa takim charakterom, jak Alceste w komedjach Moliera, t. j. prostym odludkom, którzy nie lubią wprowadzić ludzi, ale im źle nie czynią, i tylko od nich stronią, jest krzywdzącą niewłaściwością.

Teraz zastanówmy się, czy człowiek mający skłonność do panowania nad innymi, nie musi lubić psa, zwierze podłe i używające swoich zdolności jedynie na usługi pana; zwierze poddające się chętnie kaprysom i liżące równie niesprawiedliwą jak dobroczynną rękę? — Z drugiej strony: człowiek lubiący niepodległość musi polubić kota, stworzenie umięjące być niepodległém i czuć wyrządzoną sobie krzywdę, a szkodliwe tylko kiedy mu głód dokuczy.

Naturalista Biufon wyrzuca kotu: że lubi wygodę, szuka miękkich sprzętów do spania na nich, ależ to samo robią ludzie; że na pieszczoty o tyle tylko czuły, o ile mu te robią przyjemność, ależ to samo robią ludzie; że nie lubi przymusu, ależ to samo ludzie przymusu nie lubią.

Kto więc lubi koty, musi być przyjacielem ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

Przed składami sztuk pięknych we Florencyi znajduje się obraz wywieszony, przed którym cisną się tłumy ciekawych. Wystawia ten obraz rzymskie więzienie, w którym siedzi uwięziony człowiek z długą brodą, jest to jeden ze skazanych wyrokiem powstańców z roku 1831., która liczba znajduje się na zdrzutogotanej chorągwi, leżącej u stóp więźnia. Promień słońca przedziera się tymczasem do sklepień ciemnych, a ręka wyciągnięta przez drzwi otwarte podaje mu gałązkę oliwną, kajdany opadają z nóg więźnia, wzrok nadziei nieszczęśliwego pada na słońce, wolność zapowiadające, które nazwisko Piusa IX. opromienia. — Obraz ten pod względem sztuki nie ma wielkiej wartości, ale chętnie się oko tłumu nad nim bawi, a z poruszeń nieustannych ludu wyczytujemy gorący współudział z więźniem jęczącym w kajdanach, i błogostwiący wyswobadzającą rękę.

— Według doświadczeń pewnego uczonego francuzkiego, chodzą mieszkańcy Strazburga, Bazylei i wielu innych miast nad Renem po złocie, gdyż kamienie, któremi ulice wybrukowano w tych miastach, zawierają złoto.

— Przed kilku laty znaleźli chłopcy nad jeziorem Winnipiscog młodego niedźwiedzia i przyprowadzili go do wsi ze sobą, gdzie po niejakiem czasie został towarzyszem igrającej młodzieży, a nawet chodził z dziećmi



do szkoły. Pobawiwszy kilka miesięcy w tak dobranem towarzystwie, powrócił nareszcie do boru i po kilku latach zupełnie o nim zapomniano. Nauczyciel umarł, a żona jego trudniła się nauką młodzieży. Podczas głębokiej zimy i wielkich śniegów, siedziała młodzież szkolna wraz z swoją nauczycielką w izbie, gdy nagle wchodzi ogromny niedźwiedź, i siada sobie jak dawny znajomy poufale przy ogniu. Dzieci wszystkie sypnęły się do starej nauczycielki, która także w ostatni kącik się schroniła i w przestachu zgubiła okulary z nosa, bo sądziła, że ostatnia dla nich wybiła godzina. Niedźwiedź tymczasem grzał się wygodnie przy ogniu, a dzieci ze starą krzyczały co gardła bezustannie, lecz że dom stał daleko od drugich, przeto nikt nie przybywał na pomoc przerażonym. Kiedy się nareszcie niedźwiedź ogrzał, wstał na tylne łapy, po zdejmował czapki i kieszenie pozawieszane na ścianach, a pamięć jego nie zawiodła, bo znalazł w nich śniadania dzieci. A zjadłszy im chleb, ser, mięso, jabłka i t. d., wyprzątnął nadto spiżarnię pani nauczycielowej i wyszedł sobie drzwiami na Boży świat między góry. Dopiero gdy dzieci ze strachu opłoneły, przypomniały sobie, że to im tego figla dawny przyjaciel spletał.

## M O D Y.

Paryz, dnia 20. Października 1846.

Najnowszą modą są negliże z lekkiego sukna, a podobają się szczególnież szaraczkowe kazimierki, oszyte wąską jedwabną börtą. Sukno kameleonowe jeszcze jest lepsze, i dla tego lepiej się jeszcze nosi. Równie merinosy wracają do mody, ale suknie z nich robią tylko negliżowe, na prędkie wzięcie ranne, lub na podróż. Kolor modny merinosów jest kapucyński. Dla nadania im cokolwiek większej elegancji, oszywają je z przodu małemi sutaszowemi börtami w tym samym kolorze, równie jak stanik. Można też dodać guziczki, co przecie nie jest rzeczą konieczną.

Wszystkie suknie na półstrój są mniej więcej wystrójone wyłogami lub ukosami, lub haftem sutaszowym, guzikami, pasamonami lub nawet gładko przyzitymi czarnymi koronkami. Nie widać sukien bez garnituru.

O płaszczach nic z pewnością powiedzieć nie można, ponieważ poczyniono próby we wszelkich rodza-

jach i nie wiadomo, czyli z nich która powszechnie spodoba się. Tymczasem chętnie noszą palletoty z kołnierzami i bez nich, sułtanki, pewien rodzaj obszer-nych wizytek, które na dole nie są okrągło cięte i mają pół długie rękawy.

Pasamony nadzwyczaj są w używaniu, i orzucają niemi suknie, mantylle, wizytki i płaszcze.

Najnowsze stroje głów i czepeczki, jakieśmy widzieli podczas otwarcia włoskiego teatru, na czółku suto garnirowane, koronki spadają na około i pięknie twarz otaczają.

Naramiennice są w tym roku daleko szersze, aniżeli w przeszłych latach; noszą je często z niebieskiej lub różowej emalii z diamentami. Tak zwane dormeuse także są w modzie, są to kołczyki zupełnie okrągłe, z jednym kamieniem. Brosze, zaś robią w kształcie winogron. Na ranne ozdoby noszą wiele rznitych klejnotów ze srebra, prawdziwie mistrzowskie dzieła naksztalt robót Benwenuta Cellini.

Lubo jeszcze czas nie nadszedł do noszenia futer, jednak wiele z nich gotowych spoczywa w ukryciu. Nim pora do tego nadejdzie, oszywają szlafroczyki pasamonami, sutą fręzlą i koronkami. Szczególniej odznacza się nowy garnitur jedwabny, który tak jest połączony ze sobą, że wygląda zupełnie naksztalt chin-chilli. Widzieliśmy go naprzód na płaszczu aksamitnym.

Markizy atłasowe tworzą z przodu krótką mantylle, a rękawy są razem z tkaniny kraiane.

Wizytki jeszcze noszą i podszywają je zazwyczaj białym atłasem. Z rana są one z sukna jedwabiem haftowanego lub z szarego kazimierku podobnie haftowanego; jeżeli są z atłasu, natenczas stroją je pasamonami, w kolorze rażącym. Czarne robią tylko z aksamitu.

Sans-gène są obszerne opończe, z jednem ściąganiem w tyle i z fałdami zaszytymi, zapewne je futrem podszywać będą.

## Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz jedwabny krepą ozdobiony. Mantylla aksamitna. Suknia jedwabna.
2. Kapelusz krepowy, piorami strojny; szlafroczek kaszemirowy z falbanami. Szal kaszemirowy.
3. Szary kapelusz z pilśni. Frak o długiej talii z krótkimi połami. Kolorowy krawat.